

Jerzy Gumowski

część III z III

Sygnatura notacji: **N0489**

Data urodzenia: **28.09.1956 r.**

Data nagrania: **24.10.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 54 min, część III: 27 min.**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Współpracował pan też w latach 80-tych z oficyną Rytm?

Jerzy Gumowski: Tak, z oficyną Rytm też, z oficyną Głos, z Czesiem Bieleckim, bo potem jeszcze od Czesia Bieleckiego dostawałem też materiały do przygotowywania klisz, Tak, to tyle, co mi w głowie pozostało. Kooperatywa Studencko-Robotnicza Wola. Zdaje się, że przez moje ręce przeszło logo kooperatywy. Logo „Tygodnika Mazowsze” też przeszło przez moje ręce. I najprawdopodobniej te wierzby, które tam są, to są z mojego zdjęcia przetworzone. Z kim ja jeszcze współpracowałem? Z Tygodnikiem Solidarność, to mówiłem. Miałem jakieś sporadyczne wrzutki jakichś sporadycznych pisemek, ale np. jak się ukazywały jakieś materiały na papierze maszynowym, które były jakimiś odezwami czy coś i trzeba było je zreprodukować i powiększyć, tylko też nie wiem, dla kogo, i pomniejszyć, żeby je rozdawać ludziom w formie ulotek, to ja to też robiłem. Te ulotki zrzucone z budynku PZU być może były też przeze mnie przygotowane do druku. Bo ja ich nie drukowałem, ale przygotowywałem klisze do offsetu albo sitodruku. Dzisiaj widzę to po pierwsze z perspektywy mojej rodziny, czyli żony i 2 synów. Jeden urodzony w ,80 roku, drugi w ,86. Ta moja robota tak naprawdę narażała i moją żonę, i ich. Choć wiedziałem, że jeżeli mi by się coś stało i zostałbym np. aresztowany, to reszta ludzi, z którymi ja byłem związany, czyli Ewa, Jadzia i Teoś, jeżeli był na wolności, zadbają o to, żeby moja rodzina nie ucierpiała za bardzo. Wiedziałem o tym, że obejmą ich pomocą, byłem o tym przekonany. Ale z drugiej strony to było bardzo duże ryzyko jednak. Bo jeden synek miał 2 lata, potem jak miał 6, to drugi miał roczek. To były takie wczesne małżeńskie i rodzicielskie obowiązki, w PRL-u było bardzo trudno wychowywać. Do pierwszego syna mieliśmy tylko pieluchy tetrowe, które trzeba było prać, prasować albo do magla domowego wrzucać. Nie było tak jak dziś, że było dostępne wszędzie mleko dla niemowląt. My żeśmy sprowadzali mleko z Francji dzięki mojej

siostrze, która ze swoim mężem zresztą przyjechała tu pierwszym samolotem, jaki z Francji leciał do Polski w stanie wojennym, to oni tu przylecieli. I przylecieli z zapasami mleka w proszku dla dziecka, takimi, co starczą na rok, jakimiś tam ubrankami, takimi rzeczami. W stanie wojennym zdobyć ubranko dla dziecka to był problem. W stanie wojennym zdobycie czegokolwiek było olbrzymim problemem. Nie mówię o tym, że były kartki na jedzenie, na cukier, na alkohol, na mięso. Ja niestety ten stan wojenny, gdyby nie moje wolnościowe wyjazdy, a właściwie całej mojej rodziny na wakacje do Dębek czy próby wyjeżdżania w zimę do Szczyrku na narty, żeby dzieci się nauczyły na nartach czy na desce snowboardowej, to były takie jedyne momenty jakiegoś szczęścia i zadowolenia. Ja tak naprawdę oprócz tego, że miałem ten rzemieślniczy warsztat fotograficzny, to nie miałem wielkich środków na utrzymanie tej rodziny. Tak naprawdę to moja żona zawsze pracowała, całe życie zresztą. Jej Zakład Ubezpieczeń Społecznych zaliczył emeryturę od momentu podjęcia nauki na studiach aż do 66 roku życia, bo ona się jeszcze załapała na emeryturę 67 lat. Dopiero potem to zmieniono, ale ona pracowała i to ona bardzo duże pieniądze przynosiła do domu. W dużej mierze, jak w mojej pracowni coś się nie działo, bo był martwy sezon, to ona w dużej mierze utrzymywała i dzieci, i mnie. Ja też, jak mówię, wyjeżdżałem za granicę w czasie stanu wojennego, do Francji na winobranie i na jabłkobrania. I tam w ciągu 3 miesięcy zarabiałem takie pieniądze, że mogłem sobie spokojnie z 2 lata żyć, bo miałem zapas tych pieniędzy. Tak wtedy robiła masa ludzi, tak jak robią to dzisiaj Ukraińcy, którzy przyjeżdżają do Polski. Ja to mogłem robić, bo mi pomagali w załatwieniu pracy moja siostra i mój szwagier. Do tego stopnia mój szwagier był bratem ministra spraw wewnętrznych Francji i jak ja któregoś roku tam przyjechałem, to na stole leżały dla mnie papiery emigracyjne do wypełnienia. Takie papiery, żebym ja mógł wypełnić, dostać pozwolenie na pracę i zostać we Francji. Chodziłem parę dni z myślą, co ja mam tak naprawdę zrobić z tym fantem, ale przeprowadziłem z nimi rozmowę, że nie, że moje miejsce jest w Polsce, że ja w Polsce mam jeszcze masę spraw, które muszę załatwić, że ja mam w Polsce rodzinę, że jak ja zostanę, to nie wiem, czy będę mógł tę rodzinę ściągnąć, bo w Polsce jest reżim straszliwy. A ja po prostu czuję, że w Polsce mam masę rzeczy do zrobienia jeszcze. A te rzeczy, które są związane z działalnością podziemną, to oprócz tych takich rysów historycznych, o których mówiłem na początku, czyli oprócz jakichś tradycji rodzinnych, podchodzenia do Polski, polskości i do tego kraju, to ja miałem jeszcze takie myśli, które przekazywałem wszystkim swoim znajomym, że jeżeli ja dla działalności opozycyjnej poświęcę 3 godziny w tygodniu i takich ludzi jak ja będzie milion, to trzeba sobie policzyć, ile godzin pracy na rzecz podziemnych struktur i na rzecz opozycji demokratycznej, ile tych godzin będzie. Że to jest metoda na obalenie komuny, że każdy z nas powinien wrzucić swoje ziarenko do tej walki z komuną. Jak każdy wrzuci, nawet niesystematycznie, ale coś raz robi, to, co mój przyjaciel z tamtych lat załatwi mi awaryjne miejsce na pracownię, na ciemnię fotograficzną, to już jest przyczynek do obalenia tej komuny. Generalnie tak się stało, może nie do końca do obalenia komuny, ale generalnie tak się stało, że nasze życie się zmieniło, i to zmieniło diametralnie. To, że ja mogę jechać do Paryża na dowód osobisty, jeszcze na razie oczywiście, bo to się może zmienić. To, że Polska jest w Unii Europejskiej, to, że nasze życie się zmieniło, że ja do moich ukochanych Dębek jadę prawie autostradą, to jest niby droga szybkiego ruchu, ta siódemka, ale ona jest już dwupasmówką w jedną, w drugą stronę. To, że ja obwodnicą Warszawy Południową mogę sobie polecieć. Teraz byłem w Radomiu, jechałem autostradą, a kiedyś się jechało przez Białobrzegi do tego Radomia drogą, ja to pamiętam, bo do tego Radomia, bo moja żona pochodzi z Radomia, jeździłem wiele razy. Ale trasę E7 z Warszawy do Gdańska to ja pamiętam z czasów, jak tam się jechało polną drogą praktycznie, jechało się 7–8 godzin. Ja miałem na początku stanu wojennego garbusey. Kilka tych garbusów miałem. To garbus wyciągał 90 km/h, więc ledwo co jechałem. A dziś ten świat się tak zmienił. Moim wnukom mówię, że za czasów, kiedy ja byłem młody, to u mnie w domu nie było

telefonu np. Moja matka jako adwokat musiała przez kilka lat pisać petycję do jakiegoś urzędu, który w końcu się zdecydował, że nam zainstaluje telefon. Musiał do tego przyciągnąć kabel przez cały dom, zrobić gniazdko w ścianie i wstawić bakielitowy, czarny, stacjonarny telefon z kółkiem do kręcenia. A ten świat dziś, kiedy się ma dotykowe telefony komórkowe, kiedy wszystko się tak poznaje. Ja spędzam bardzo dużo czasu przy komputerze, bo porządkuję swoje archiwum, ale też na różnych społecznościowych grupach, forach itd. Więc tamten świat, a szczególnie świat stanu wojennego tu w Warszawie wspominam jako takie czarne dni, szare, brudne.

Artur Kłus: Jak pan wspomina tę okolicę, Saską Kępę?

Jerzy Gumowski: Saską Kępę dla mnie w trakcie mojej młodości była zawsze wśród moich znajomych enklawą wolności. My byliśmy, tu są 2 szkoły licealne, jest szkoła imienia Prusa i szkoła imienia Adama Mickiewicza, ale wszyscy się znaliśmy.

Artur Kłus: Bo pan skończył?

Jerzy Gumowski: Mickiewicza. Tak mniej więcej wtedy wyglądałem, taki chłoptaş. Ale środowisko i Prusą, i Mickiewicza dobrze się znało, bo my mieliśmy jedną swoją ulubioną knajpkę. Knajpkę, która się nazywała Zlew, mieściła się w suterenie. Oficjalna nazwa to była Cafe Sułtan. Dzisiaj ktoś to zmienił na Maskę, ale wszyscy starzy saskokępianie nadal mówią na to Zlew. I my żeśmy po szkole, wychodząc ze szkoły, wszyscy się spotykali w tej knajpce, wszyscy znajomi. I tam żeśmy siedzieli godzinami, pili tak zwany napój, bo już po to, żeby tam siedzieć, trzeba było w tej knajpce wydać 10 złotych. Jak się wydało 10 złotych, to można było siedzieć. My żeśmy byli bardzo zintegrowani z właścicielami też tej knajpy. Ale to było środowisko młodzieży, która była młodzieżą kontestującą tę rzeczywistość. Wtedy na całym świecie szerzył się tzw. hipizm i my byliśmy takimi warszawskimi, polskimi hipisami. Ja poszukam być może... Ja mam takie zdjęcie swoje, gdzie mam włosy dotąd rozpuszczone, mam opaskę tu na czole i taki wisiołek z zębami jakiegoś psa na skórzanym takim pasieczku. I chodziliśmy z takimi torbami, które nam się o chodnik tarzały. I też, co bardzo ważne, mieliśmy wszyscy bezpłatny dostęp do najlepszej światowej muzyki rockowej tamtych czasów. Mieliśmy go stąd, że moim przyjacielem w tamtych czasach był Artur Rakowski, syn Mieczysława Rakowskiego i Wandy Wiłkomirskiej. Wanda Wiłkomirska dzięki tym, kim była, jeździła po całym świecie. W związku z czym, jak pojechała na 2 miesiące i przyjeżdżała z powrotem do Polski, to swojemu synowi przywoziła najnowsze, najlepsze płyty młodej muzyki. To były płyty Led Zeppelin, Janis Joplin, Jimi Hendrix, Queen itd. Wszystkie topowe albumy tamtych czasów i my żeśmy właściwie tylko takiej muzyki słuchali. Polskiej muzyki żeśmy nie słuchali w ogóle. Takich zespołów jak No To Co – nie. Takich zespołów jak Skaldowie – nie. Jak Czerwone Gitary – też nie. Bo my mieliśmy coś, co jest prawdziwe, autentyczne i co było wielką muzyką. I do dziś jest wielką muzyką. Także mieliśmy tutaj, oczywiście nasze sobotnie spotkania były spotkaniami na tzw. prywatkach wtedy, każdy musiał urządzić raz w roku prywatkę, więc miejsca, gdzie prywatki są, się zmieniały. Ale byliśmy też później taką bardzo mocną, silną grupą saskokępczan, która jeździła na wakacje do Dębek. I na wakacjach do Dębek, jak to przystaje hipisom, chodziliśmy na plażę nudystów i tam żeśmy spędzali długie, gorące dni. Wszyscy byliśmy bardzo mocno zaprzyjaźnieni. Jakies 2 lata temu grupa tych moich znajomych, to znaczy Artur Rakowski, Mariusz Żabiński, który był synem kacyka z PZPR od kultury chyba i który długo, długo przed stanem wojennym opuścił swój dom, opuścił ojca, wyjechał do Francji i we

Francji został malarzem. W tej chwili jest jednym z najlepszych malarzy belgijskich. Jest takim neokubistą. Więc on, Rakowski i jeszcze taka nasza przyjaciółka Joanna Sitkowska zwołali wszystkich starych znajomych z Saskiej Kępy do właśnie knajpy Zlew, żebyśmy się wszyscy zobaczyli, jak wyglądamy, pogadali ze sobą o starych czasach. Na tym spotkaniu było nas około 120 osób. I wtedy, jak na tym spotkaniu się okazało, że nas tyle jest, że wszyscy się widzimy, że w ogóle wspaniali ludzie, to mi się przypomniało, jak w tym domu obchodziłem 18. urodziny i była osoba, która liczyła, a to było jeszcze przed stanem wojennym oczywiście dużo, była osoba, która liczyła, ile osób się przewinęło przez moje mieszkanie. Nie było tak, żeby było zaproszenie dla określonej grupy, tylko wszyscy wiedzieli, że jest osiemnastka i kto chce, to może przyjść. Ta osoba naliczyła 100 osób, które się przewinęło przez to mieszkanie. I potem już w stanie wojennym z Ewą Brykowską-Liniecką przy jakiejś tam wódeczce żeśmy się zaczęli zastanawiać, kto z nas, z tej 100, która była u mnie na 18. urodzinach, jest w kraju, został w kraju, a nie emigrował, nie wyjechał gdzieś. Okazało się, że jestem ja i Ewa. Cała reszta ludzi emigrowała do Australii, Stanów Zjednoczonych, do Europy. Artur Rakowski chyba tydzień przed stanem wojennym najprawdopodobniej na skutek informacji od ojca uciekł do Niemiec razem ze swoją żoną i ze swoim synem, z jego żoną Anią, która była przez pewien czas moją dziewczyną, potem była jego dziewczyną, a potem była znowu moją i potem została żoną Artura. Wyjechali do Niemiec, potem wyjechali do Szwecji. Ze Szwecji mama, Wanda Wiłkomirska, pomogła im przedostać się do Australii. To też jest taki przyczynek do jakiejś opowieści. Otóż wśród tych 100 osób w knajpie Zlew, czyli obecnie Masce, były prawie wszystkie kategorie człowieka. To znaczy Artur Rakowski, dyrektor australijskiego banku z filią w Londynie, Mariusz Żabiński, wybitny malarz, w Polsce nieznany, bo on z Polski zrezygnował. On powiedział, że on w Polsce nie będzie miał żadnych wystaw, bo nie ma tu partnerów do dyskusji. Tomasz Łabędź, facet, który nakręcił film i teraz też chyba jakiś film kręci o Solidarności i o pomocy Solidarności, mieszka w Paryżu. Lekarze, adwokaci, prawnicy, fotograf taki jak ja, ale w tym gronie tych osób znalazł się człowiek, który był naszym wielkim przyjacielem, który jest w tej chwili bezdomny. Też tam były rozmowy, jak mu pomóc w tej bezdomności. Jest człowiek, który jest alkoholikiem i się stacza pomalutku. Pomalutku, pomalutku, ale się stacza. A wszyscy żeśmy się wychowali w jednym miejscu, wszyscy jesteśmy z tej samej grupy rówieśniczej, wszyscy jesteśmy wychowani w tych samych szkołach, na tej samej dzielnicy, na podobnych wartościach. Ale życie powoduje to, że jeden może zostać dyrektorem banku, a drugi może być bezdomnym. I to już jest zależne od tych wszystkich losów przyszłych. 6 lat starsza siostra. Zawsze chciała z Polski wyjechać, nigdy jej się tu nie podobało. Ona kończyła szkołę siostr w Niepokalanowie, licealną. I po tej szkole powiedziała, że ona nie chce już w Polsce być, że chce stąd wyjechać. Wyjechała najpierw do Stanów, do mojego wujka Jacka, żołnierza Brygady Świętokrzyskiej. Potem ze Stanów wróciła do Francji. Tam mieszkała w Paryżu, częściowo studiowała trochę na Sorbonie, ale poznała tam faceta, który skończył bardzo dobrą szkołę administracji państwowej w Paryżu. Wyszła za niego za mąż, urodziła mu piątkę dzieci. On był dyrektorem szpitali różnych, szpitali państwowych we Francji. Długo, długo mieszkali w mieście Tours nad Loarą, do którego ja przyjeżdżałem, bo tam jest obszar winnic i sadów jabłkowych. Ale my ze sobą nie mamy kontaktów jakichś takich bardzo bliskich. Te kontakty się pomału gdzieś tam zacierają, urywają. Mama ze mną nie rozmawiała o sprawach politycznych, nie rozmawiała o swojej pracy. Mówiła mi o pracy, kiedy ta praca dotyczyła kogoś, kogo ja mogę znać. Np. prowadziła kilka spraw karnych dla ludzi, którzy obok Saskiej Kępy mieszkali na takiej dzielnicy, którą nazywaliśmy Kwadrat. I na tym Kwadracie mieszkaly rodziny, które produkowały tak zwanych git-ludzi, to byli na ogół ludzie pochodzący ze wsi, którzy zostali przeniesieni do miasta i którzy mieli swoich potomków, synów i córki, i oni żyli w takim kulcie życia więziennego, ci ludzie. I my jako grupa kontestujących hipisów mieliśmy z nimi zawsze na pieńku, oni zawsze byli wobec nas bardzo agre-

sywni. I ja miałem kilka przygód z próbą pobicia mnie, ale ja nigdy nie byłem ułomkiem, więc takie próby się nie udawały, ale mój kolega, przyjaciel tu z ulicy, kiedyś został przez nich straszliwie pobity. I moja mama prowadziła im sprawy karne. Właśnie za pobicia, za kradzieże i o tym mi mówiła. „A wiesz, że temu z Kwadratu, temu facetowi prowadzę sprawę, bo coś tam narozrabiał, nawywijał”. O sprawach politycznych nigdy nie mówiła. O innych sprawach sądowych swoich klientów też nie. Ale mówiła dużo bardzo dobrego o różnych adwokatach. O adwokacie Olszewskim mówiła zawsze bardzo dobrze. Rzecz, która mnie najbardziej zszokowała, to że za lata mojej konspiracyjnej pracy, czego bym się nigdy w życiu nie spodziewał, zostałem w jakiś tam sposób uhonorowany tymi dwoma Krzyżami, które dostałem, ale nie tylko. Jestem wpisany w Urzędzie ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych jako tak zwany DOA, czyli działacz opozycji komunistycznej. Ten wpis daje mi to, że ja mogę dziś dostawać w miarę przyzwoitą emeryturę z w miarę przyzwoitym dodatkiem od Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, która kilka miesięcy temu została podniesiona ustawą sejmową podpisaną przez prezydenta i przez Senat, w Sejmie przez aklamację, w Senacie przez aklamację i potem prezydent podpisał. I powiem tak, gdyby nie to, to moja emerytura dziś byłaby na poziomie 500 złotych, 300 złotych, czyli najniższa z możliwych. Po pierwsze dlatego, że system, w którym żyłem parę lat swojego życia, czyli PRL i stan wojenny, w ogóle by się do mojej emerytury nie liczył. Bo ja wtedy prowadziłem działalność gospodarczą, ale nie odprowadzałem żadnych składek. Później, po Okrągłym Stole, ja byłem na samozatrudnieniu, co prawda na etacie w „Gazecie Wyborczej”, ale etacie, który był najniższym z możliwych etatów. I od niego były odprowadzane pieniądze do ZUS-u. Więc gdyby nie moja dziesięcioletnia czy ośmioletnia działalność w podziemiu, to tak naprawdę ja bym dzisiaj mógł wylądować pod mostem. I teraz po co ja to mówię? Mówię to po to, że czasami w młodości, to też mi powtarzała moja matka, trzeba umieć rozpoznać chwilę i czas, w którym należy zrobić coś, co przychodzi samo. Do mnie przyszło samo to, że Ewa Brykowska poleciła mnie Teosiowi i że wszedłem w tę strukturę podziemną. Na samym początku wiedziałem, że to jest jakaś szansa i że tę szansę trzeba wykorzystać. Że nie jest to szansa dla mnie, ale jest to szansa dla tego kraju. I myślę sobie, że taki młody człowiek powinien umieć rozpoznać, kiedy dostaje taką szansę. I jak rozpozna to, czy np. szansa z „Gazetą Wyborczą”, to, że ja powiedziałem tak, że chcę być fotografem, to jak się rozpozna to, że oto przyszło coś do mnie, co musi być dla mnie punktem zaczepienia i powodem do tego, żeby rozpoczynać swoje dobre życie, to jak się to potrafi rozpoznać, to potem każdy z nas będzie stary. Każdy z ludzi, którzy dzisiaj mają lat 15–16, kiedyś będzie miał lat 60, 67, 80. Za młodu trzeba mieć z tyłu głowy, myśli o tym, że nasza cała młodość, całe życie zawodowe jest ciężką pracą na te czasy, w których my będziemy już mieli po 70–80 lat. Bo tak naprawdę to, że będziemy dobrze w korporacji działać, to ma znaczenie tylko dla naszej przyszłości i wszystko, co sobie wymyślimy. Tak sobie myślę.